ROK DRUGI.

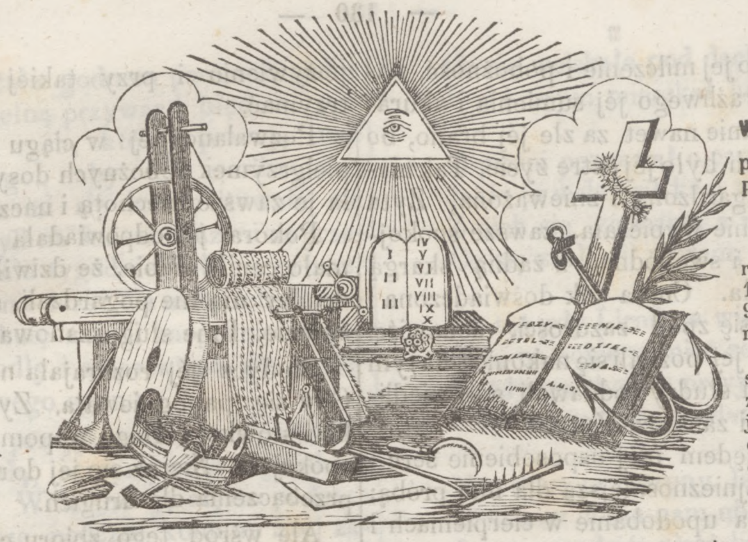
№ 17.

Warszawa

Dnia 14 (26) Kwietnia

1857.

Niedziela 2ga po WIELKIEJ NOCY.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80 półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Lepiéj jest bez wątpienia dla was, abyście w przeciwnościach doświadczanymi byli, jak gdyby wszystko wam się miało powodzić podług żądania. (O naśl. Chr. K. 3. R. 30).

Święta Zyta.

Niema ani tak ubogiego stanu, ani położenia tak mało w świecie znaczącego, ażeby i tam z pomocą Boską nie można było dojść do wielkiéj świątobliwości. Zyta jest najpiękniejszym tego przykładem.

Pochodziła ona z niskiego stanu, była córką włościanina. Ojciec jéj nazywał się Lombard, a matka Bonissima; ubodzy, ale bogojni, nie spodziewając się zostawić dużo swéj córce, starali się o ile mogli uposażyć ją cnotami.

Zyta urodziła się na początku trzynastego wieku, we wsi zwanéj Monte-Segradi, nie daleko Luki, we Włoszech. Troskliwość cnotliwéj matki o wychowanie córki w bojaźni Boga, była tem skuteczniejszą, że w niej znalazła serce stworzone do cnoty i przyrodzoną skłonność do pobożności. Słodycz i skromność jéj zachwycały; mało mówiła, dużo robiła, a praca nie przeszkadzała jéj modlitwom. Dzieckiem jeszcze będącéj dosyć było powiedzieć tylko, że się coś Bogu niepodoba, aby wstręt do tego na całe życie w niéj obudzić. Nie potrzebowała matka dla jéj poprawy i nauki, więcéj używać wyrażeń nad te dwa, które wszystko obejmowały: *Tego Bóg nie każe, Bóg to przykazuje.*

Gdy już miała lat dwanaście oddali ją rodzice na służbę do jakiegoś mieszczanina w Luce, nazwiskiem Fatinelli, którego dom stał zaraz obok kościoła Świętego Frygidyona. Dom ten dotąd jest szanowany; bogate w nim malowidła wyobrażają znaczniejsze cuda naszej świętéj.

Zyta stając się sługą, wiedziała należycie, że prawdziwa pobożność zależy na dokładnem pełnieniu obowiązków swego stanu, i starała się o to. Codziennie na nogach o świcie, czas przez innych obracany na spoczynek poświęcała modlitwie, i zawsze wprzód wysłuchała Mszy, zanim zatrudnienia swe rozpoczęła.

Pokorna, cierpliwa, pracowita, posłuszna, zdaje się, że powinna była być szanowaną i wielbioną od tych, co ją znali; Bóg wszakże dopuścił, że kilka lat przechodziła ciężkie próby życia. Skromność jéj pczytywano za niedorzeczność, a pilność w pełnieniu obowiązków chciano uznać za zazdrość i tajemną dumę. Za niedbalstwo i wady drugich służebnic domowych zawsze ganio-

no Zytę, gromiono jéj milczenie i pobożność, naśmiewano się z drażliwego jéj sumienia i akuratności, umiarkowanie nawet za złe jéj brano, bo ciężarem dla innych było jéj ostre życie. Tak niesprawiedliwie wzgardzona i znieważona, Zyta niczego się nigdy nie wypierała, zawsze spokojna, słodka, pilna i swobodna, z żadną skargą słyszeć się nie dała. Cnota tak doświadczona i stała, wydobyła się zpod zazdrości, nienawiści i złości. Państwo jej poznali się nakoniec na tym skarbie, a odtąd i słudzy oddawali sprawiedliwość poczciwości i zasłudze Zyty.

To nowe względem niéj usposobienie serc i umysłów, było najnieznośniejszą dla niéj próbą; bo znajdowała ona upodobanie w cierpieniach i upokorzeniu.

Zaufanie i szacunek, jaki wzbudzała, skłoniły jéj państwo, że Zycie powierzyli cały wydatek na dom i służbę. Zyta uważała dobro, jakiem rozrządzała, za skład, z którego Bogu musi zdać rachunek, i aż do skrupulatności staranność w oszczędzaniu go doprowadzała.

Nieprzyjaciołka lenistwa, każdą chwilę wolną od czynności domowéj zapełniała innemi zatrudnieniami; przez lat kilkadziesiąt, które przepędziła w tym domu, nigdy jéj nie widziano bez jakiéjś roboty. Miała ona zwyczaj powtarzać, że pierwszemi cnotami sługi chrześciańskiéj są: bogobojność, wierność, pokora i miłość pracy; do niczego, mówiła, sługa nabożna, jeżeli nie jest i pracowitą, a pobożność bez uczynków, jest fałszywą pobożnością.

Miłość, którą od samego dzieciństwa powzięła ku Matce Boskiej, nietylko wpoiła w nią zamiłowanie nadzwyczajne czystości, ale jéj uprosiła dar téj cnoty. Niema słów na wyrażenie, do jakiego stopnia delikatności posuwała ją przy najcięższych, najpilniejszych robotach; w najgorętsze dni letnie nigdy nie szukała ulgi w swym ubiorze, lękając się o niedosyć skromne ubranie.

Raz poważył się jeden ze służących mówić do niéj z grubiańską śmiałością, co taki w niéj wstręt obudziło, że byłaby dom państwa swego opuściła, gdyby natychmiast nie oddalono owego śmiałka.

Ostrość surowej pokuty karmiła i powiększała w niéj tę cnotę. Nadzwyczajną była jéj wstrzemięźliwość; cały rok ściśle pościła, na desce sypiając.

Trudno było pojąć, jak mogła o tak małem pożywieniu i przy takiéj surowości życie utrzymać.

Pozwalano jéj w ciągu roku odbywać kilka pielgrzymek pobożnych dosyć dalekich; odbywała je zawsze piechotą i naczczo.

Pokora jéj odpowiadała innym cnotom; tak mało ceniła siebie, że dziwiło ją to bardzo, jak drudzy nią nie pogardzali, a Bóg znosił na tym świecie. Inne sługi szanowała jak panów.

Słodycz jéj rozbrajała najgwałtowniejszych. Gdy się pani gniewała, Zyta pokazała się tylko i słówko o Bogu wspomniała, a zaraz się uspokajała. Nieraz się jéj do nóg rzucała, błagając przebaczenia dla drugich.

Ale wśród tego zbioru cnót żadna w naszéj Świętéj nie jaśniała tyle, co miłość bliźniego. Miłosierdzie jéj dla ubogich, dla wszystkich strapionych, dla nieszczęśliwych, nie miało granic; dlatego suszyła o chlebie i wodzie, aby mieć z czego jałmużnę udzielić—nigdy też nic bez wiedzy państwa nie dała. Pan jéj widząc, że mu majątek się zwiększał w jéj rękach, pozwolił jéj hojniejsze rozdawać jałmużny; ona wszakże z oszczędnością używała tego pozwolenia, jakkolwiek usiłowała być szczodrobliwą. W czasie głodu, mówi podanie ludowe, wyczerpawszy wszystkie pieniądze, wyczerpała i spichrz swego pana, lecz Bóg potrafił go znowu napełnić; bo gdy poszła, żeby wyzbierać resztę jarzyn i ziarna na rozdanie, zastała go pełniejszym jak kiedykolwiek. Jakiś wędrownik z miłosierdzia ją prosił o kilka kropel wina dla pokrzepienia sił; nie mogąc mu tego uczynić, pobiegła do studni w pobliżu będącéj, zaczerpnęła wody, która się w najlepsze wino zamieniła. Do dziś dnia tę cudem pamiętną studnię, *Studnią Świętéj Zyty* nazywają.

Nie miała innéj odzieży prócz codziennéj, wszystko bowiem oddawała ubogim, a jak ją strofowano o to, wtedy odpowiadała: Jako? toż gdy Chrystus prosi mnie o jałmużnę w osobie nędzarza, ja śmiałabym odmówić?

W nocy Bożego Narodzenia było bardzo zimno, pani pożyczyła Zycie futrzanego okrycia. Wchodząc do kościoła, Zyta spostrzegła ubogie go prawie nagiego i ziębniętego; nie myśląc wiele, oddała mu pożyczone odzienie.

Z tegoż samego źródła pochodziła ta skłonność wrodzona do uniewinniania bliźnich. Nie słyszano nigdy, aby kogo obmawiała; co tylko

drudzy robili, uważała godnem pochwał, siebie jedynie uznawała pełną przywar i błędów.

Modliła się za tych, którzy pracują nad zbawieniem bliźniego, aby ich gorliwość i praca skuteczniejszemi się stały; litowała się nad tymi, którzy byli na śmierć skazani za przestępstwa, przepędzała tygodnie całe na proszeniu Boga o otrzymanie łaski dla nich, żeby z cierpliwością i jako pokutę znieśli karę śmierci, podwajając wtedy modły i umartwienia dla wyjednania im szczęśliwego zgonu.

Pełna tylu cnót, przejęta zawsze miłością bliźniego tak doskonałą, otrzymywała największe łaski przyrodzone. Widziano ją często podczas Mszy Śtéj, a zawsze podczas komunii Śtéj zalaną łzami.

Zachorowawszy, zażądała ostatnich sakramentów i przyjęła je, a piątego dnia choroby zakończyła żywot doczesny, t. j. dnia 27 kwietnia roku 1272, w sześćdziesiątym roku życia swojego.

Natłok ludzi był nadzwyczajnym; ciało jéj, które złożono w Luce, w kościele Swiętego Frygidyona, nieuległe zepsuciu, dotąd jeszcze widzieć tam można.

Roku 1550 otworzono jéj grób i znaleziono w stanie niezepsucia ciało, poczem złożono do bogatéj trumny, żeby dogodzić pobożnemu ludowi. Przykryte jest złotą materyą; twarz i ręce, które widać przez kryształ, nie wydają się umarłemi członkami.

Leon X papież pozwolił odprawiać podwójne nabożeństwo do téj Swiętéj w kościele Swiętego Frygidyona. Swięta Zyta jest w nadzwyczajnem poważaniu w mieście Luce. My jéj oddajemy cześć w dniu jéj zgonu, t. j. 27 kwietnia.

Ostatni Lirnik.

—

I

Bywało, mówią, czasy dawnemi
Żyli Lirnicy na naszéj ziemi;
I chodząc z pieśnią z proga do proga,
Głosili chwałę kraju i Boga.

Szkoda zaprawdę tego zwyczaju,
W nim była żywa kronika kraju,
Co się wciskała pod dach słomiany,
Pod którym mieszkał lud nasz kochany.

Z pieśni poznawał ojczyste dzieje,
Jakie przechodził kraj ten koleje;
Z nich się zapoznał z niejednym mężem,
Co się zasławił piórem, orężem.

To też gdy Lirnik w wiosce się zjawiał,
Miłą po sobie pamięć zostawiał,
Każdy go chętnie przyjął w swe progi,
I dał wygodę po trudach drogi.

Nie wiem przyczyny, lecz się tak stało:
Lirników coraz nam ubywało,
I coraz rzadziéj pieśń liry brzmiała,
I coraz smutniej... wreszcie skonała!

II

W dziecińskie mojem, temu z pół wieka,
Poznałem na wsi starego człeka,
Co był Lirnikiem; jak mi mówiono,
Na naszej ziemi ostatni pono.

Lat siedemdziesiąt dobiegał blisko,
Dziubiński było jego nazwisko;
Włos długi, biały wił się pierścieniem,
Schludnem się zawsze znaczył odzieniem.

Lecz jeszcze krzepki był Matusz stary, (1)
Ubrany zwykle w kubrak swój szary,
Lub płaszcz niebieski, zkąd też wziął miano,
Niebieskim bowiem *płaszczem* go zwano.

Wzrostu dobrego, jak gołąb siwy,
Oblicze czerstwe, chód jeszcze żywy,
I gęsta broda jak mleko biała;
Cała zaś postać piękna, wspaniała.

A kiedy stary przywlekł się czasem
Do naszéj chaty pod Czarno-lasem, (2)
To mi gawędził o swéj młodości,
To śpiewał cuda wiary, miłości.

Jak umiał z wolą zgadzać się nieba,
To go za przykład brać nam potrzeba;

(1) *Matus*, czyli Mateusz było to imie Dziubińskiego.
(2) *Czarnolas*, wieś położona w Gub. Radomskiéj, dawniéj posiadłość słynnego polskiego poety, Jana Kochanowskiego.

Gdy go spotkała ciężka niedola,
To wyrzekł tylko: *Dziej się twa wola.*

Zamłodu zwiedził świata niemało,
Gdy mu się w wojsku służyć dostało;
Niejedno ztamtąd wyniósł wspomnienie,
Niejedno w piersi stłumił życzenie.

Pamiętał zwłaszcza szturm Lanckorony,
Gdzie ciężko w głowę został raniony;
Dziś, pod słomianą kąt lubił strzechą,
Gdzie rad zachodził z pieśnią, z pociechą.

Z miłością w sercu, i pełen wiary
Z wioski do wioski chodził nasz stary;
Lecz nie za chlebem, choć go nam trzeba,
Tak jak nadziei, jak łaski nieba.

Prostym był człekiem, mało gdzie bywał,
Jeno ludowi śpiewał i grywał;
O dawnych królach i dawnych panach,
O wielkich wodzach, sławnych hetmanach,

Nie był odludkiem, lubił młódź żwawą,
I z nią się chętnie dzielił zabawą,
Starych rad słuchał, wzajem im prawił,
A małą dziatwę powieśćmi bawił.

Nie miał on domu, łoża, pościeli,
Lecz kędy zaszedł, to go przyjęli
Jak przyjaciela; w progu witali,
I chleb, i izbę, i łoże dali.

Z lirą pod pachą, z kosturem w ręce
Szedł, nucąc pieśni Świętéj Panience,
A ku nauce jak i zabawie,
Miał dużą książkę w starej oprawie.

I śliczne nieraz pieśni z niéj śpiewał,
Dzieciom obrazki w niéj pokazywał,
A do każdego powieść gotowa;
Tytuł zaś książki: *Klejnot Krakowa.* (3)

Z niéj też zapragnął, gdy Bóg dał zdrowie,
Jeszcze przed śmiercią być raz w Krakowie;

Dalej, odwiedzić każdy zakątek,
Co był ojczystych składem pamiątek.

Rzeźwo się zabrał, choć stare nogi,
Lecz do dalekiej przywykły drogi,
Więc znakiem krzyża obwiodłszy czoło,
W tę się pielgrzymkę puścił wesoło.

III.

Minęło odtąd dziesięć lat prawie,
Nimem starego spotkał w Warszawie;
Niemałéj doznał w losie swym zmiany,
Gdyż ciężki w serce cios miał zadany.

Wszystko, co jeszcze tutaj posiadał
W ostatnich czasach, wszystko postradał:
Postradał brata, siostrę jedynę,
Chata ojcowska poszła w ruinę.

Rzucił więc miejsca doznanéj straty,
Pożegnał ze łzą przyjazne chaty,
I wiodąc odtąd tułacze życie,
Nieraz zabolał, zapłakał skrycie.

Tak się błąkając trzy lata blisko,
W Warszawie wreszcie obrał siedlisko;
Tu poznał stary, co to jest bieda,
I że za darmo nikt mu nic nie da.

Więc, gdy go ciężka zmogła potrzeba,
Grywał w gospodach za kawał chleba,
Lub jaki datek, za groszy parę,
Panu z boleści czyniąc ofiarę.

Wie każdy dobrze, komu łzy znane,
Że czas najcięższą zagoi ranę;
Toż i Dziubiński miał swoje chwile,
W których o smutku nie myślał tyle.

Wtedy się jego twarz rozjaśniała,
Lira ochoczo w ręku mu drgała;
On zaś jéj głosem dźwięcznym wtorował,
Który do śmierci niemal zachował.

A ulubionym Śpiewnikiem jego
Był pieśni Sielskich zbiór Karpińskiego;
Niemi on licznych słuchaczy darzył,
Z których go każdy groszem obdarzył.

(3) *Klejnoty Krakowa*, jest tytuł dawnéj książki, obejmującéj tak opis tego grodu, jako też jego świątyń, pomników i innych pamiątek.

Czasami, kiedy nabrał humoru,
Spiewał własnego pieśni utworu;
W każdéj za przykład przedstawiał cnotę,
Albo opiewał ludu prostotę.

Innemi razy grał znów tak rzewnie,
Żeby i kamień poruszył pewnie,
Jakby malował boleść tajoną,
Że w łzach, obecne tonęło grono.

IV.

Tak mu znów kilka ubiegło latek,
I chociaż nie znał co to dostatek,
Przynajmniéj tyle zarabiał sobie,
Że na kęs chleba miał w każdéj dobie.

A kiedy lata, jak woda cieką,
Wybrał się znowu w podróż daleką
Do Jasnéj Góry, by Świętéj Pani
Wdzięcznego serca ponieść hołd w dani.

Z owéj pielgrzymki skoro powrócił,
Pieśni światowe całkiem zarzucił,
Tylko do cnoty, wiary zagrzewał,
Doznane cuda w pieśniach opiewał.

Miał, zda się, bliskiéj śmierci przeczucie;
Ostatnie chwile spędził w pokucie,
Widocznie dusza w niebo się rwała—
Z pierwszemi mrozy też uleciała. (4)

Tak zgasł Dziubiński; wspólna mogiła
Szanowne zwłoki starca pokryła,
A z nim i lira umilkła w grobie,
Tylko wspomnienie dając po sobie.

Datek nieprzyjęty.

Było to w r. 18... Już nastały wieczory jesienne, już ostre zimna dobrze przejmowały, a kominy po dworach zabłysły ogniem, zwabiając do siebie koła rodzinne, dla poprowadzenia gawędki to o tem, to o owem, jak to zwykle przy kominku bywa. Na boku jednéj wioski, o kilkanaście mil od Warszawy leżącej, stały dość schludne czworaki, a na progu czworaków leżał zziębnięty, a może i zgłodniały Kruczek, ale mimo to czynnie pełniący powinność swoję i głośnem szczekaniem ostrzegający mieszkańców tej chaty o każdym zbliżającym się do niej przybyszu.

W chacie na posłaniu okrytem rogożą, leżał starzec wychudły, widno schorzały, a przy nim krzątała się kilkonastoletnia dziewczynka, śledząc każde skinienie sędziwego ojca, i od czasu do czasu okrywając pocałunkami jego wyschłą rękę.

A miły to był bardzo staruszek, dopóki niemoc nie powaliła go na łoże boleści. Sędziwy wiekiem, ale rzeźki umysłem, prawił on nieraz z nadzwyczajnem zajęciem otaczającéj go do koła gawiedzi rozliczne wypadki. A gawiedź słuchała i otwierała z zadziwieniem usta, gdy opowiadał dawne zdarzenia, o jakie nietrudno u starych wiarusów, którzy włócząc się tu i owdzie po świecie, nie z jednego pieca chleb jedli.

Smutno też było czy na odpuście, czy w gromadce wiejskiéj, kiedy nie było starego Matysa, jak go tam wszyscy w owej wsi zwali, i każdy pytał o przyczynę niemocy, spiesząc swoim zwyczajem z jakiemiś lekami, na które Matys wcale nie baczył, i puszczał je mimochodem, pokładając całą nadzieję wyzdrowienia swego w N. Matce Częstochowskiej. Dlatego zawsze ponad łożem jego wisiał obraz tej Boga Rodzicy, przybierany co dnia w świeże polne kwiaty, tylko dziś już zwiędłe, bo je ostra jesień zwarzyła.

— A kędy jest Stacho? zapytał schorzały starzec dziewczyny, którao dpowiedziała, że poszedł do lasu dla zbierania chrustu i nacięcia witek dla plecienia koszyków, bo już ostatni wczoraj sprzedali.

Stacho był to syn jego, około lat czternastu mający, dobry, pracowity chłopczyna, a na którym od chwili jak ojciec zaniemógł, cały trud około domostwa spoczywał. I rzeczywiście wybrał on się od rana do lasu, i tam to spotkała go owa przygoda z jałmużną, którą odrzuciwszy, cały swój los własny i szczupłej rodziny ustalił. Przed niejakim bowiem czasem, zjechał do tej wioski nowy dziedzic i od dni do-

(4) Dziubiński Mateusz Lirnik, powróciwszy z pielgrzymki odprawionéj do Częstochowy w roku 1828, zmarł na początku zimy tegoż roku, pochowany na Powązkach, we *wspólnym dole ubogich*.

piero kilku objął swoję posiadłość. Jako człowiek rządny, a przytem dbały o nabyte dobro, nie spuszczał nic zuwagi, a trzymając się zasady, że pańskie oko konia tuczy, sam wszędzie przestrzegał porządku. Właśnie wracał z lasu, kiedy spostrzegł chłopczynę dźwigającego chrust oraz pęk witek, i zmierzającego prosto drogą do wsi.

— A zkądżeś to chłopcze? zapytał dziedzic, zbliżywszy się do Stacha.

— A juści ze wsi.

— A dokądże idziesz?

— A do dom, a gdzieżby?

— A gdzież jest twój dom?

— A juści we wsi, powtórzył znów chłopak, przysparzając kroku, jakby chciał uniknąć rozmowy.

— Na coż ci ten chrust i wicie, które dźwigasz na plecach?

—A bo dziedzic pozwolił nam zbierać chrust na ogień, a witki na kosze, które pleciemy i sprzedajem, jak się kto nadarzy.

— A któż to jest ten dziedzic?

— A bo ja go tam widział. Kilka dni dopiero jak przybył; tylko tatulo posłyszawszy o nim, powiedział do siebie: to zapewne on!

— Więc ty masz rodziców?

— Mam tatula, bo co matka, to już dawno w ziemi.

Zaciekawiła dziedzica ta wzmianka o nim, i to odezwanie się ojca chłopczyny: to on! — postanowił więc iść zdala za nim i uważać, do której wejdzie chaty, a tymczasem dobywszy sakiewki, wyjął srebrny pieniądz i dając chłopczynie, rzekł:

— Masz tymczasem, to dla ciebie, a jak później zobaczę, to może ci dam i więcej.

Lecz jakież było zadziwienie jego, kiedy chłopak odsunąwszy jego rękę z pieniądzem, odrzekł:

— Alboż to ja żebrak, żebyście mi pieniądze dawali? A coby to powiedział tatulo, żebym ja choć grosz przyjął, bez zarobku na niego?

Dziedzic spojrzał na chłopca, jakby pragnął bliżej mu się przypatrzyć, a po chwili zapytał.

—Więc wy złaski Boga macie się dobrze i nie potrzebujecie niczego?

— A co to komu do tego, jak my się mamy, kiedy nikogo o chleb nie prosim?

Zabawny chłopak, pomyślał sobie dziedzic, i nie odkładając na dłużej, postanowił zaraz iść za nim do chaty, dla zaspokojenia swojej ciekawości. Stacho jak mógł przyspieszał kroku, ale dziedzic zawsze był tuż za nim, i gdy dochodzili do chaty, Kruk powitał ich szczekaniem, a dziewczynka spodziewając się brata, wybiegła na spotkanie jego. Zaledwo ją Stach ujrzał, porwał ją za rękę i szepnął do ucha:

—Nie mów temu panu, żeśmy dziś nic nie jedli, bo onby ci dał jałmużnę, a tatuloby się zagryzł, żeśmy wyszli na żebraków.

Słowa te wyrzeczone przez Stacha w pośpiechu, doszły uszu dziedzica, a gdy odrzucenie pieniądza przez chłopca i to zgłodniałego, przyszło mu na myśl, mimowolnie łza zabłysła mu w oku, i z tą łzą litości przestąpił po raz pierwszy próg starego żołnierza.

Nie będziemy wam opisywać spotkania, dość powiedzieć, że dziedzic w owym schorzałym starcu poznał swego wachmistrza, z którym go różne łączyły wypadki, a rozdzieliły koleje, aby znowu po latach wielu zbliżyć niespodzianie.

Stach i siostra jego poszli na opiekę dziedzica, stary otrzymał chleb łaskawy do śmierci, a najpiękniejszą korzyścią, jaką nieprzyjęcie datku przyniosło, było założenie w owej wsi szkółki dla kształcenia dziatwy z podobnemi zasadami jak Stacho, która to szkółka, istniejąc po dzień dzisiejszy, niejeden już dobry owoc wydała.

O Lasach europejskich i drzewach w nich rosnących.

Lasy europejskie zarosłe są drzewami, które botanicy mieszczą w dwóch oddzielnych gromadach, to jest, w gromadzie drzew *kotkowych* i *iglastych* albo *szpilkowych*. Drzewa kotkowe są dlatego tak nazwane, że mają kwiaty ułożone w podłużne gronka, zwane *kotkami*, z przyczyny miękkiego włoskowatego okrycia; drzewa zaś iglaste mają liście równowązkie, często ostre, przez zimę nieopadające, wyjąwszy w modrzewiu. Te ostatnie mają kwiaty otoczone łuskami rozrastającemi się w czasie dojrzenia owocu i zmieniającemi się w mięsiste, lub drzewiaste, i te stanowią tak zwane *szyszki*.

Oprócz wielu innych gatunków drzew i krzewów pojedyńczo rosnących, właściwie panującemi gatunkami, które w Polsce rosną razem i główniejszą część lasów stanowią, są: z drzew iglastych *sosna* i *świerk*, z kotkowych zaś, czyli

liściowych: *dąb*, *brzoza*, *olsza* i *grab*. W południowéj stronie, wzdłuż gór Karpackich przytrafia się częściéj *jodła*, a z liściowych *buk*. Był dawniej u nas czwarty gatunek drzew iglastych, może ze wszystkich najużyteczniejszy, to jest *modrzew*, dziś już prawie wszędzie wyniszczony, z przyczyny, że go wszędzie do budowli poszukiwano, a nigdzie nie starano się go zachować lub rozplenić.

Jak ważną korzyść stanowią lasy, przyznamy zważywszy, że z rosnących w nich drzew największą część materyału budowlanego i opałowego posiadamy. Od najdawniejszych czasów jednak nie szanowano lasów, nie starano się ochraniać je od zupełnego wyniszczenia—dziś jeszcze lasy stanowią ważne źródło dochodów państwa i prywatnych właścicieli. Wyznać z żalem potrzeba, że nieporządne gospodarstwo leśne u nas, ogołociło kraj z obszernych lasów, okrywających niegdyś naszą ziemię. Przysłowie: *Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las*, którem rządzili się przedtem przodkowie nasi, na nieszczęście niebardzo było prawdziwe; bo przyznać musimy, że dziedzicząc po ojcach naszych spuściznę, niewiele zastaliśmy lasów. Gdzież są bowiem owe ogromne lasy zwane *puszczami*, jakiemi jeszcze przed parą-set laty były: *Niepołomicka* blizko Krakowa, *Jaktorowska i Korabiewska* o kilka mil od Warszawy, wreszcie *Ostrołęcka* nad Narwią, *Kampinoska* i inne, w których niegdyś królowie sławne wyprawiali łowy na grubą zwierzynę? Jedne zniknęły zupełnie z powierzchni ziemi, z drugich zaledwie ślady pozostały.

W dzisiejszych czasach, gdy na lasy zwrócono szczególną uwagę, gdy już we wszystkich krajach zaprowadzono gospodarstwa leśne, naznaczając kolejne poręby, można być pewnym, że lasy od zniszczenia zupełnego zachowamy. U nas wprawdzie późno, bo dopiero przed 30stu kilku laty wzięto się szczerze do urządzenia lasów rządowych. Zasługa w tém należy się głównie ówczesnemu Dyrektorowi Dóbr i lasów w Kommissyi Rządowej Przychodów i Skarbu Ludwikowi Hr. Platerowi, na którego wniosek założono w Warszawie Szkołę Leśnictwa dla kształcenia zdolnych urzędników leśnych, a w któréj to szkole wspomniany dyrektor czynny miał udział, wykładając sam naukę urządzania gospodarstw leśnych.

Zastanówmy się teraz nad ważnością lasów. Lasy ochraniając obszerne okolice od zbytecznyh skwarów słońca i działania wiatrów, a zarazem sprowadzając wodę, użyzniają je, powiększają ilość ziemi roślinnéj, już to w skutku gnicia korzeni i opadłych z drzew liści, już też w skutek rozkładu roślin w cieniu ich rosnących; z téj przyczyny korzystnie jest zasiewać drzewa na ziemi piaszczystéj i kamienistéj, bo się ją tym sposobem polepsza, utrwala, i do wzrostu roślin usposabia.

Lasy wstrzymują nad wierzchołkami swemi chmury, które zawartą w nich elektrycznością silnie działają na roślinność, a opadając na ziemię jako deszcz, dostarczają potrzebnéj wody. W krajach lasami okrytych, nadmiar wody pozostałéj od téj, którą wciągają rośliny, daje początek źródłom, tworzącym większe strumyki i rzeki. Zwiedzając wyniosłe góry, przekonywamy się, że im są obfitsze w lasy, tem więcéj mają strumyków. Smute doświadczenia okazały, że wycinając lasy, osuszamy okolice, a przeciwnie użyzniamy je, sadząc drzewa. Wiele miejsc przez wyniszczenie lasów tak dalece stały się nieurodzajnemi, że dla sprowadzenia niezbędnéj ilości wody nietylko dla roślin, ale i na potrzebę ludzi, musiano znowu zasadzać drzewa. Lasy drzew iglastych zarastając na wzgórzach lodowatych okolic, wstrzymują wielkie zaspy śniegowe, zawalające niekiedy okoliczne równiny. Smutnych tego rodzaju wypadków doznają teraz mieszkańcy najwyższych w Europie gór Alpejskich, których siedziby odsłonione wycięciem lasów, zasypywane bywają ogromnemi *lawinami*, czyli zaspami śniegowemi; bo te tworząc się na wierzchołkach gór przez ciągłe staczanie się po spadzistości góry, niewstrzymane niczém, do takiego ogromu dochodzą, że całe osady wiejskie u spodu góry leżące zasypują.

Lasy widocznie wpływają na równowagę ciepła w powietrzu; w zimie zmniejszają ostrość mrozów, bo ciepło drzew jest wyższe od ciepła powietrza; w lecie przeciwnie, drzewa są zimniejsze od otaczającego powietrza, zmniejszają więc upały letnie. Nie mniéj ważny wpływ wywierają lasy na zdrowy stan powietrza i na niezmienny skład jego, lubo oddychanie zwierząt ustawicznie je pod tym względem zmienia. Liście roślin wydają pod czas dnia znaczną ilość kwasorodu do powietrza, a wciągają z niego kwas węglowy; zwierzęta zaś oddychając zabierają kwasoród, wydają kwas węglowy, który właśnie roślinom jest potrzebny—

tym to sposobem ustala się nieustannie równowaga w składzie powietrza, nieodbicie potrzebnego do życia zwierząt i roślin.

Wreszcie kończąc ogólne uwagi o lasach naszych, dodać musimy, że te doznały kiedyś ogólnego zniszczenia, w czasie wielkich wstrząśnień, którym uległa ziemia, a ślady tego widzimy dziś w wielu okolicach, już to w ogromnych pokładach węgla kamiennego i brunatnego, czyli lignitu, już też w gruntach torfowych.

Odkrywamy często pnie drzew bardzo dobrze zachowane w torfach; kora ich jest jeszcze nie zniszczona—sąto po większéj części pnie dębów, brzóz, buków i jodeł. W Holandyi znaleziono tak zdrowe pnie dębowe, że te mogły być użyte do budowy. Niedawno w Anglii nad brzegiem morza w okolicy miasta Plimouth odkryto w pokładzie piasku szczątki całego lasu, który zdaje się należeć do czasów przedpotopowych; przy wyspach otaczających Szkocyą widzieć można na dnie morza ogromne lasy, zwane z téj przyczyny *podmorskiemi.*

Po wykazaniu ważności lasów przystąpimy do opisania drzew w nich rosnących, zaczynając od dębu, o którym w następnych numerach Czytelni główniejsze szczegóły podamy.

Składka włościańska.

Pamiętamy okropny pożar starożytnego grodu Krakowa w r. 1850, gdzie tyle pamiątek historyi narodu naszego, tyle świątyń Pańskich ręką pobożnych przodków naszych wzniesionych, z pomnikami sławnych w dziejach ludzi w gruzach zagrzebanemi zostało.

Obszerny opis w pismach publicznych rozgłosił wkrótce po kraju tę smutną nowinę; obudziła się litość i współczucie dla biednych, bez dachu i najpierwszych środków do życia pozbawionych pogorzelców miasta Krakowa. Zaczęto zbierać składki, które z wielkim szły pośpiechem i zapałem. Było to właśnie przy schyłku żniwa kiedy do pewnéj wioski zajechał jeden z obywateli do zbierania składek uproszony; a że na wsi wszelkie nowiny prędki obieg mają, wiadomość więc tak o nieszczęśliwym Krakowie, jak i o chęci niesienia pomocy pogorzelcom, wkrótce z ust do ust obiegła.

W niedzielę podług zwyczaju, po skończeniu żniwa, miały być *dożynki* czyli *okrężne* dla włościan, których to pracowitą ręką zabrane i potem oblane snopki do stodoły zwieziono. Tegoż dnia rano przy odbywaniu tygodniowego obrachunku z włościanami, dziedzic jako przyjaciel swych podwładnych, według zwyczaju wdał się z niemi w gawędkę o rzeczach potocznych, a między innemi o nieszczęściu Krakowskiem, o składkach zbieranych—nadmienił przy tem, że kiedy dziś ochoczo na okrężnem bawić się będą, tysiące naszych braci nie mając kawałka chleba dla siebie i rodziny, pozbawieni dachu, błąkają się ze łzawem okiem, dawnéj swéj siedziby pomiędzy gruzami wyszukując. Gdyby to wszystkie pieniądze za wódkę i piwo na okrężne w całéj Polsce wydać się mające, można było zebrać i złożyć dla pogorzelców, jak wielkąby to dziś dla nich przyniosło zapomogę!

Wzruszenie widoczne było na twarzach przytomnych włościan, a wtem sołtys z siwą głową, co to trochę dawniejsze pamiętał czasy, odzywa się:

—Przecież to i my mamy Boga w sercu—kiedy się panowie składają, i my ofiarujemy to, cośmy dziś na okrężne wypić mieli, a prócz tego kiedyśmy od pana za robotę pieniądze odebrali, to jeszcze co czyja wola niech doda, a więcéj dla nieszczęśliwych się zbierze.

Jakoż w oka mgnieniu zebrało się gotówką złotych 84 gr. 15. Sołtys wysłał zaraz posyłkę do obywatela zbierającego składkę, z ową uzbieraną sumką od włościan.

Po niejakiej chwili nadchodzi do dworu biedny kulawy, zaledwie na kęs chleba zarobić mogący, mieszkaniec tejże wioski, i prosi ze łzami w oczach, aby pan i jego ofiarę dla nieszczęśliwych krakowian, w ilości groszy *sześć*, dołączyć raczył. Rozczulony dziedzic widząc nad spodziewanie tak szlachetne uczucia w ludziach prawie zupełnie prostych, aby ich niejako wynagrodzić i umocnić ducha miłości bliźniego, wyprawił im zwykłe okrężne, dawszy im przy téj sposobności stosowną naukę moralną.

Takie to szlachetne uczucia w ludzie naszym wiejskim istnieją—brak mu tylko zachęty i nauki do pojęć jego stosownéj.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 10 (22) kwietnia 1857 r.—Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*